

16 grudnia zmarł nestor prezesów Romy, doktor Francesco Marini-Dettina, który poprowadził klub na podbój pierwszego Pucharu Włoch. Jakim był człowiekiem? Co osiągnął? W ramach lekcji historii kilka słów o legendarnym prezie Romy.

Rocznik 1917, Marini-Dettina skończyłby 95 lat 1 stycznia 2012 roku. Nazywano go "Conte" (hrabia), ale nie lubił afiszować się ze swoim szlacheckim tytułem. Trzeba powiedzieć wprost: w życiu Francesco Mariniego-Dettiny, Roma była wielką, energiczną, czasem prestiżową przygodą, ale na pewno nie centralnym punktem egzystencji naznaczonej jednocześnie bolesnymi i legendarnymi doświadczeniami. Chcemy zacząć wspomnianie go od momentu najbardziej dramatycznego i emocjonującego, od udziału w bitwie pod El Alamein. Marini-Dettina w październiku 1942 był członkiem "Błyskawicy", elitarniej jednostki spadochronowej włoskiej armii. Od ponad dwóch lat chłopcy z "Błyskawicy" przygotowywali się, żeby wziąć udział w inwazji na Maltę, ale na koniec – decyzja zasługująca na kryminał – zdecydowano o wysłaniu ich do akcji u boku Afrika Korps Rommela.

Ich misja, samobójcza, miała polegać na zatrzymaniu angielskich czołgów gołymi rękoma. Kilka dni przed rozpoczęciem bitwy włoscy spadochroniarze dostali "sekretną broń". Były to puste butelki po piwie. Z nich mieli zrobić sobie koktajle mołotowa. Żołnierze "Błyskawicy" mieli ukryć się w okopach i czekać na przejazd wrogich czołgów, żeby potem zaatakować je tymi prymitywnymi bombami. To był koszmarny scenariusz. W regimencie Mariniego-Dettiny byli m.in. Alberto Marchesi, były gracz rugby Roman Club oraz dumny dziennikarz "Corriere dello Sport" i Giorgio Capotondi, który po latach kierować będzie sekcją sportową w żółto-czerwonym klubie.

Godziny i dni bitwy pod El Alamein zostały opowiedziane przez Dettiniego we wspaniałym reportażu ("I ragazzi di di El Alamein") w 2002. Zrealizował go Enzo Monteleone (scenarzystwa oskarowego filmu "Mediterraneo"), który zebrał osobiście poruszające świadectwo Mariniego-Dettiny. W październiku 1942 roku działa angielskie zaczęły ostrzeliwać włoskie okopy dzień i noc. Alianci od czasu do czasu organizowali "wycieczki". Tak to wspominał Marini-Dettina: *Kiedy Maorysi atakowali z bronią białą, mieli zwyczaj zakładać bagnet, byli opici rumem i biegli do przodu z jednym zamiarem... Jak automaty.* Sytuację komplikowały braki w amunicji i nieustające pragnienie. Racje wody były ograniczone do około pół litra dziennie, a jej smak był straszny, ponieważ transportowano ją do pierwszej linii w kanistrach po benzynie. Wieczorem 24 października rozpętało się piekło, które trwało 10 dni. Artyleria, bombardowania z powietrza, atak czołgów i oddziałów naziemnych. W

punkt, którym dowodził Marini-Dettina, uderzył potężny atak. Za obronę tę przyszedł prezes Romy otrzyma zresztą srebrny medal wojskowy. Anglicy jednak nie przechodzą. Przeciwnie, dziesiątki z nich trafiają do niewoli. *Eskortowałem* – wspominał Derrina – *angielskiego majora, który po dotarciu do naszej placówki zobaczył, że było nas bardzo niewiele i krzyknął do swoich ludzi "Here are few men". To zdanie zapadło mi w pamięć. Popatrzyłem na niego i powiedziałem mu po angielsku: "tak, jest nas niewiele, ale każdy z nas mierzy w was z broni".*

Oddział Mariniego-Dettiny odstaje rozkaz, cofa się po czterech dniach i czterech nocach bez dostaw wody i jedzenia, pod nieustanną kanonadą dział i karabinów maszynowych wroga. W końcu, otoczeni, żołnierze włoscy składają broń przed pułkownikiem Camosso i poddają się. Anglicy oddają im honory. Na zakończenie wspomnień o największym doświadczeniu swojego życia Dettina mówił: *Splatały się dwa przeciwstawne uczucia, ból i duma... Czasem zazdrościłem tym, którzy tam zginęli, ponieważ nasze poświęcenie było wielkie i nigdy nie spotkało się z właściwym uznaniem.*

Powróciwszy do Włoch, na początku lat 60 zbliża się do szczytów AS Roma. Zostaje wybrany prezesem 1 lipca 1962 roku, dziedzicząc po przeciwnikach fatalną sytuację finansową z pasywami w wysokości 946.190.634 lirów. Pomimo tego (płacą z własnej kieszeni) nowy prezes zarysowuje hojny, potężny, ale też pechowy program, który ma na celu budowę wielkiej Romy. Kierownik nowoczesny, ambitny. Jako pierwszy, w chwili objęcia swojej funkcji, zapowiedział, że chce stworzyć centrum techniczne, które postawiłoby Romę – pod względem organizacyjnym – na poziomie klubów z północy.

Symbolem wielkich inwestycji Mariniego Dettiny będzie zakup Sormaniego, sławnego trenera za pół miliarda, ale jego najambitniejszym osiągnięciem był „tylko” Puchar Włoch w 1964 roku. Wysiłki Giallorossich przekreśliły w pewnym stopniu niefortunne poszukiwania skutecznego trenera (w pewnym momencie klub starał się zaangażować starego Scopellego, który wtedy prowadził Atletico Madryt, ale nie udało mu się). Pozostawiony samemu sobie w niesieniu ciężaru ekonomicznego Romy, Marini-Dettina wytrzymał tak długo, jak się dało, starając się nie sprzedawać najlepszych graczy. *Kiedy nie sprzedałem Angelillo do Milanów* – powie potem – *poczułem się jak finansowy samobójca.* W lutym 1966 roku, w czasie zgromadzenia klubowego, powiedział, że ostatnie miesiące były dla niego *najsmutniejszymi w historii Romy. Były okresem podziałów, walka, oczernieni. Były pewne osoby, które chciały, żebym zawiódł, a wtedy one weszłyby do Romy.* W czerwcu 1968 roku Marini-Dettina zszedł definitywnie ze sceny. Zbyt szlachetny, żeby wytrzymać w świecie, który – jak piłkarski świat – pełen jest rekinów.

Prawdziwy dżentelmen, bohater wojenny, jeden z największych pasjonatów w historii Romy.

Autor: MASSIMO IZZI

Tłumaczenie: kaisa

Warto dodać także, że z prezesurą Dettiny łączy się zatrudnienie takich graczy jak Charles czy Sormani, ale też bolesne wspomnienie "zbórki w teatrze Sistina", kiedy - z powodu trudności finansowych klubu - kibice Romy podarowali 600 tysięcy lirów, żeby pozwolić drużynie na wyjazd na mecz do Werony.

W najmodniejszym teatrze tamtych lat w styczniu 1965 roku zaapelowano do dobrego serca kibiców, bo kasy klubu świeciły pustkami. Na scenie, obok innych piłkarzy, stanął także Giacomo Losi. I to on sam, choć z wielkim zakłopotaniem, zaczął krążyć między publicznością z kapeluszem na datki. Wizerunek klubu był zruinowany. Marini-Dettina odmówił przyjęcia pieniędzy (kwota i tak była zbyt mała), ale dla wielu zawsze pozostał prezesem od "zbórki". Piłkarze nie dostawali pieniędzy przez wiele miesięcy, grozili nawet strajkiem, ale potem i tak wychodzili na boisko. A zebranych pieniędzy nie wykorzystali na sfinansowanie wyjazdu (sami za niego zapłacili), ale przekazali ofiarom katastrofy w Vajont. Niektórzy sugerowali, że cała akcja bardziej był manifestacją (wielu przedstawicieli prasy) zorganizowaną w celu skompromitowania prezesa i zmusić go do odejścia. Myślał tak także sam Losi, który po wielu latach, wspominając tamten dzień, mówił, że była to upokarzająca farsa.

Autor: kaisa